



Irena Kozłowska

część I z II

Sygnatura notacji: **N0323**

Data urodzenia: **1921 r.**

Data nagrania: **04.2010 r.**

Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Konrad Starczewski**

Czas nagrania: **część I: 58 min, część II: 46 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Irena Kozłowska: Urodziłam się w Warszawie w roku 1921, muszę policzyć. I mieszkałam w Warszawie do Powstania. Potem musiałam się wyprowadzić, ale to potem, potem. Mój ojciec był wyższym urzędnikiem kolejowym, mama nie pracowała, mam siostrę, jeszcze żyje siostra. Rodzice oczywiście nie żyją. Ukończyłam gimnazjum, liceum, Drugie Gimnazjum i Liceum imienia Jana Kochanowskiego w Warszawie, ulica Rozbrat 26. I zdążyłam to zrobić przed samą wojną w 1939 roku. W czasie okupacji zesłałam, że tak powiem, do podziemia. Pracowałam w tajnym nauczaniu, ale ponieważ ja jestem wolny strzelec, nie należałam nigdy do żadnych... Owszem, należałam, musiałam być zaprzysiężona, ale moja funkcja w tajnym nauczaniu była taka dziwna, mianowicie dziewczęta, które nie miały pieniędzy, żeby płacić za komplety, brały lekcje prywatne darmo u mnie i potem zdawały na kompletach. Tak się umówiłam z moimi nauczycielkami i to było właśnie tajne nauczanie przy drugim gimnazjum miejskim. To była jedna rzecz. Druga rzecz była, byłam w szkole zawodowej, żeby mieć ausweis, to się tak nazywało, a poza tym studiowałam rok w szkole, w Wyższej Szkole Teatralnej, która się zaczynała dopiero, pod kierownictwem Iwo Galla. Więc pierwszy raz, jak nas zobaczył, taką grupę, zresztą kierowała nami też, nazwiska nie pamiętam, ale pani, która prowadziła balet w Operze Warszawskiej przed wojną i zrobiła taki zespół. I wtedy Iwo Gall nam pomagał, jej pomagał przy reżyserii, wybrał tam kilka nazw i powiedział, że teraz będę z wami zaczynał szkołę teatralną. I tak zaczynałyśmy. Potem Basia Krafftówna przyszła, ale to było później, ale to już ja wtedy wyszłam z tej szkoły, wychodziłam za mąż. Jeśli chodzi o organizację akowską, to zostałam zaprzysiężona na, to było na Placu Narutowicza, ale ja mieszkałam wtedy już na Okęciu, ale mnie to nie bawiło. Takie zadania, tam ćwiczenia były, ćwiczenia z bronią były, były jakieś transporty klasy tajnej ale mnie się trafiła zupełnie inna rzecz wtedy. Mianowicie u mnie, na Żabiej 9, był punkt kontaktowy „Cichociemnych”. Wiecie co to były „ciotki”? To była moja siostra i była moja przyjaciółka, która tam miesz-

kała, a ja byłam, śmiałam się, że jestem wujenka i pomagałam im. Ja nie zgłosiłam się do tej grupy, bo byłam zaprzyjęziona gdzie indziej, ale opiekowałam się tymi Cichociemnymi. O Cichociemnych powiem osobno, bo tak ustaliliśmy. Wysłałam za mąż w 1943 roku w listopadzie, a Powstanie zaczęło się 1 sierpnia. Mój mąż, moi kuzyni wszyscy, moja siostra, wszyscy brali udział w Powstaniu. Ja niestety nie mogłam, bo już byłam w ósmym miesiącu ciąży, więc raczej to ciężko było do Powstania iść. Zostałam na Okęciu. Okęcie było wydzielone. Nie było włączone do Warszawy, tym niemniej byliśmy zamknięci w domach i nie wolno nam było wychodzić. Jak ktoś wyszedł przed dom, to Niemcy strzelali. Tak że przez całe Powstanie myśmy byli zamknięci w domach. Każdy uważał to, co robi. Mój ojciec akurat szczęśliwie miał urlop i przyjechał do mnie na Okęcie, i w nocy wychodził, i kradł kartofle na polu, bo tam było niedaleko pole i tymi kartoflami żyliśmy przez okres Powstania. We wrześniu, pod koniec września urodził się mój syn. Nam groziło wywiezienie, cały czas były takie ekipy niemieckie, nawet przez ścianę. Ja rodziłam w tym pokoju, a przez ścianę było sześciu Niemców, tam mieszkali i czekali aż nas będą wywozić, ale jakoś się nie udało. I skończyło się szczęśliwie. 17 stycznia wyzwolenie, w cudzysłowie, jest. I rano wysadzają Niemcy elektrownię, i wysadzają hotel lotniczy, bo tam na Okęciu był hotel dla lotników i to taki śmieszny incydent. Mianowicie rano o godzinie 6:00 ja wchodzę do kuchni i widzę przez okno, jak hotel podskakuje tak do góry. Ponieważ byłam dobrze wyszkolona, wiedziałam, o co chodzi, otworzyłam okno, i to było jedno mieszkanie, które nie straciło szyb wtedy. Potem okazało się nieszczęście, bo ja miałam ogrzewane elektrycznością, kradliśmy oczywiście elektryczność, w mieszkaniu ogrzewane, gotowane na elektryczności, w tym momencie, jak elektrownia wyskoczyła, to ja zostałam bez niczego, z małym dzieckiem w wózek i wtedy było 19 stopni mrozu w tym dniu. Więc prędko pobiegliśmy z moim szwagrem, w międzyczasie jeszcze zdążyła przyjść moja siostra i szwagier z Sadyby, bo oni byli tam w oazie, uciekli z transportu i przyszedli do mnie, poleciliśmy szukać jakiegoś opału, jakiejś deseczki, jakiejś coś tam i tak się to tam opalało. W dzień temperatura w pokoju dochodziła do 10 stopni. To było ciepło, a w nocy woda zamarała w kubek i małe niemowlę obok. Takie były warunki. Potem mój mąż szczęśliwie dostał się do niewoli, mój kuzyn tylko jeden zginął, a chyba czterech czy pięciu było w różnych obozach i ja dostałam posadę w Garwolinie. Tutaj znowu ciekawostka, ja uczyłam się języka angielskiego w szkole średniej. To były trzy szkoły średnie w Warszawie, gdzie był język angielski, poza francuskim, który był obowiązkowy. Znałam troszkę ten angielski, uczyłam się w czasie okupacji angielskiego również i spotkałam moją nauczycielkę angielskiego, która usłyszała to samo, co wam powiedziałam przed chwilą, mówi: „Wiesz co, to ty możesz uczyć angielskiego początku, bo teraz będzie w szkole angielski”. Wypisała mi piękne zaświadczenie. To była pani autorka podręczników języka angielskiego. Mam tu schowane, do kuratora w Warszawie, Wolińskiego, to pismo. Ja poszłam tam w tym piśmie, jak on wiedział, kto mnie proteguje, to mi przyleciał i przyniósł mi krzesło z sąsiedniego pokoju. I tym sposobem dostałam uprawnienia nauczania języka angielskiego. I w kuratorium pyta się mnie ten pan Woliński, gdzie ja chcę uczyć. „W Warszawie jest na razie jedna szkoła otwarta, tam mogłaby pani, ale z Okęcia dojeżdżać...” Pieszko, właściwie nie było jeszcze komunikacji, do Warszawy to trudno. „Ale może pani gdzieś na prowincji”. Ja wpadłam na pomysł, że ja pojedę do Garwolina, bo w Garwolinie tam byli moi znajomi, był wicedyrektor szkoły Górskiego sprzed wojny, pan Makulec. Stary znajomy moich rodziców, dawny, więc ja mówię, jak on tam mieszka, bo on tam w tym gimnazjum wrócił z Warszawy po Powstaniu do tego Garwolina, to ja jakoś tak lepiej. I pojechałam do tego Garwolina, i uczyłam w Garwolinie rok. Później wrócił mój mąż z niewoli. I to też z tym z powrotem było też ciekawie, zresztą to jest ciekawy historycznie, powiedzmy, mianowicie zerwał się kontakt, bo ja jeszcze dostawałam listy z obozu, jeszcze jak byli Niemcy, a później zerwał się zupełnie kontakt i było połączenie radiowe. Polskie Radio otworzyło taką audycję, poszukiwanie rodzin. Ja nadałam ko-

munikat dla mojego męża: „Jestem w Garwolinie, żyjemy, pozdrowienia”. Nie sugerowałam niczego, żadnego powrotu. Zresztą uważałam, że lepiej, żeby nie powracał. A dodano, dopisano, radio dopisało: „Wracaj natychmiast”. Jak on usłyszał taki komunikat, to wyobraził sobie, dlaczego w Garwolinie. Do głowy mu nie przyszło, dlaczego w Garwolinie, w obozie koncentracyjnym, gdzie ona tam jest w tym Garwolinie. Oczywiście prędko załatwił powrót, bo on miał jechać z Ameryki z bratem, bo się z bratem tam spotkał i przyjechał. Przyjechał na Okęcie, tam do tego naszego gniazda rodzinnego, dowiedział się, że jestem tam i nic się wielkiego nie dzieje. Jestem w tym Garwolinie, a jego rodzice postanowili jechać na zachód. Znaczący rodzice trudno, jego macocha, która była taka bardzo przedsiębiorcza, stwierdziła, że tam jest kraina mlekiem i miodem płynąca, wszystko dają za darmo, jedziemy na zachód. I pojechali. Pojechali do Świdnicy i powiedzieli mężowi mojemu: „przyjeżdżaj, mieszkanie, posada, wszystko jest fantastycznie, przyjeżdżaj”. I przyjechał, dostał mieszkanie czteropokojowe, bardzo eleganckie, wszystko w porządku. Dostał posadę tam i napisał do mnie, że już wszystko załatwione, a na drugi dzień dostałam od teścia depezę: „Mietek w szpitalu, przyjeżdżaj”. To był sierpień 1945 roku. 1946, przepraszam, 1946 roku. Przyjechałam, rzeczywiście dowiedziałam się, że to jest zapalenie płuc na tle gruźliczym. On się tej gruźlicy nabawił w obozie. Myślę sobie, no, trzeba przyjechać, bo przecież kto się nim zajmie. I przyjechałam. Przyjechałam, matka się poświęciła, przyjechała matka ze mną, z tym maleńkim dzieckiem natychmiast szpital, po szpitalu sanatorium. W sanatorium dziewięć miesięcy, w sanatorium powiedzieli: „To się już nic nie da zrobić, pani zabiera”. No, z twardą gruźlicą to dziecka nie mogę zabrać do szpitala. Jeszcze w szpitalu był dwa miesiące i zmarł. Ponieważ musiałam go utrzymać, musiałam płacić normalną stawkę za szpital i za sanatorium, bo żona nie mogła utrzymywać męża. On tylko trzy miesiące pracował, więc nie miał uprawnień, a ja miałam, bo ja byłam pracownikiem państwowym w szkole, ale nie wolno męża utrzymywać. Więc mogłam go utrzymywać prywatnie. Więc wtedy uczyłam od godziny 7:00 do godziny 11:00. Miałam lekcje prywatne. Musiałam zarobić na to wszystko, narobiłam długów. Długi spłaciłam, wracam do Warszawy. Co ja tu będę robić? Przyjechałam do Warszawy, do kuratorium, a anglistka, świetnie [niezrozumiałe]. „Czy pani ma meldunek?” Ja mówię: „Mam od dziada pradziada, ale teraz nie mam się...” „A to nie, proszę pani”. Była taka polityka, że... Warszawiaków, którzy po Powstaniu wydostali się z Warszawy, nie przyjmowało się do Warszawy. Ci, którzy zdążyli w pierwszych dniach przyjechać, moja siostra na przykład ze szwagrem przybiegli, 18 stycznia i zajęli mieszkanie swoich rodziców, to zostali. Ale jeżeli ktoś później chciał, to nie, to się nie meldowali. Jeżeli ktoś pisze teraz, że ja przyjechałam do Warszawy w latach tam 1946, przyjechał, bo on przyjechał z Grójca, czy z Wołomina, to mógł, bo nie był Warszawiakiem. Ale jakby był Warszawiakiem, to by był... Nawet jeżeli miał atrakcję, no, zajęcie tak jak ja na przykład. Nie, to nie. Wobec tego ja zdecydowałam się na studia. Wreszcie na jakieś studia. W 1947 roku ja się zdecydowałam. Aha, to tak było, że ja zdawałam egzamin wstępny we Wrocławiu, bo to najbliższy mój uniwersytet, wracając z pogrzebu mojego męża. Bo mój mąż został pochowany w grobie rodzinnym w Raszynie. Więc jeszcze pamiętam, w takim długim welonie, jeszcze się tak chodziło wtedy z żałobą i na egzamin. I robiłam studia stacjonarne. Mieszkając w Świdnicy, dojeżdżałam cztery razy w tygodniu do Wrocławia, ucząc w dwóch szkołach. Uczyłam w szkole popołudniowej i przedpołudniowej, więc jak przedpołudnie miałam lekcje, to popołudnie jechałam na studia, a jak miałam po południu lekcje, to jechałam na studia rano. Czyli o 3:00 rano wstawałam, bo tak miałam pociąg, pociąg czasem dojechał do Kątów Wrocławskich albo gdzieś tam trochę dalej do Sobótki, stał trzy godziny i wracał. Bo już nie było dalej połączenia. A wracałam na łebka taką ciężarówką jakąś z robotnikami. I tak skończyłam studia szczęśliwie, dość szybko zresztą udało mi się. W czasie studiów spałam jakieś trzy godziny na dobę, normalnie przez cały czas. Wysłałam drugi raz za mąż, 15 lat żyliśmy, potem się rozwiedliśmy. I uczyłam, nie pozwo-

lili mi wrócić, uczyłam w tej szkole, miałam etat w liceum i potem przeszłam na emeryturę, i tak koniec jest. W każdym razie nie narzekam na brak pracy, bo trochę piszę, trochę czytam, prowadzę w Świdnicy kuriozum zupełne, to jest koło polonistów w Świdnicy, które skończyło 50 lat dwa lata temu. W dalszym ciągu działa. Na czym to polega? Dyskusje literackie. Są ludzie... To niekoniecznie są... To się nazywa koło polonistów, ale mamy inżynierów, lekarzy, przychodzą i nowości wszystkie są omawiane, opracowane, każdy opracowuje jakiś referat, potem jest dyskusja i tak sobie jakoś żyjemy. Nie dużo jest w tej chwili osób. W tej chwili jest 12, 13, 15 osób czasem. Ale trzymamy się. Więc tak, kiedy umrę, to nie powiem, bo nie wiem.

Konrad Starczewski: Jeszcze mam takie pytania, gdyby pani mogła opisać wspomnienia dotyczące Warszawy przedwojennej. Jak wyglądało pani życie przed wojną, jak ono się układało i... Więc... Jak się układało, muszę powiedzieć, że Warszawa była...

Irena Kozłowska: Ona teraz jest bardzo przepiękna, ale o tyle była ładniejsza, bo ona wyglądała tak, powiedzmy tak jak Londyn trochę, do Londynu może była trochę podobna, trochę Paryż. Taka była. Mała była i tak jak ona, tak te miasta wtedy były jednakowym, to się nie różniło zupełnie. Ja przed wojną podróżowałam dużo po Polsce, jeździłam i zwiedziłam właściwie całą Polskę, wszędzie byłam, we wszystkich miastach. Lwów był piękny. Piękny był Lwów przedwojenny. Też to był taki mały Wiedeń. Piękny był dworzec, ja jeżdżę do Lwowa dość często, bo bardzo go lubię. Wilno było bardzo prowincjonalne. Teraz Wilno wygląda ładnie, też jeżdżę do Wilna. Wilno było... Ono teraz jest miastem europejskim na dzisiejszą miarę, bo Litwini bardzo zadbali, odbudowali, a wtedy to było takie miasto właściwie żydowskie. Bardzo przyjemne było, kocie łby, obdrapane te kamieniczki, małe takie. A Warszawa była ośrodkiem kulturalnym dość przyzwoitym. Bo teatry działały, to były teatry na bardzo wysokim poziomie. Opera była bardzo dobra, warszawska. W porównaniu z tym, co... Ona jest bardzo piękna dzisiaj, tylko do niczego. Przede wszystkim tam nie ma akustyki, jeżeli państwo się nie orientują w tej dziedzinie. Nie wiem, czy wiecie, że tam są kropki na scenie i trzeba stawać w tym miejscu, żeby było słychać, to wtedy nosi. Jedyńy śpiewak to był Ładysz, który mógł śpiewać „Arię z kurantem” w środku tego, ale mu występowały żyły, jak ryczał okropnie. Tak że to było. Mieliśmy bardzo dobrych śpiewaków. Opera była prawdziwa. To znaczy taka studnia świetnie zbudowana, akustyka pierwszorzędna, teraz nie. Ale ładna jest. Wnętrze jest bardzo piękne. Jak nie pamiętam, kto ją projektował. Do nazwisk nie mam pamięci. W każdym razie jak przyszedł do tej opery, to o mało nie zemdlał. Projektant. To tyle. Więc w Warszawie życie kulturalne kwitło. Na przykład wieczorem, dzisiaj Nowy Świat, jest bardzo ładny ten Nowy Świat, ale tam jest pusto. Na Nowy Świat się idzie na spacer o godzinie 10:00, szło się o 11:00, pełno było ludzi, pachniało kawą wzdłuż całego Nowego Świata, muzyka, dancingi wszędzie ludzi spacerujących. Życie było. Wieczorami było życie. Teraz nie ma, jest ciemno, każdy się ogląda czy już kradną, czy jeszcze dopiero zamierzają. Więc tak to było. Przede wszystkim to jest okropna rzecz, co powiem, nie wiem,, może się obrazicie, ale ludzie znali swoje miejsce w Warszawie. Nie mieszała się. Jak ja szłam do kawiarni, to nie bałam się, że koło mnie będzie siedział obywatel, który się upije i spadnie pod stół, a to mi się może dzisiaj zdarzyć. Nie było tego, bo takich panów nie było. Ci panowie mieli swoje knajpy i oni tam chodzili, i im to wcale nie przeszkadzało, swobodnie się czuli. A teraz oni się wszędzie czują swobodnie i to raczej mi się nie podoba. Teraz młodzież, szkoły. Były tarcze, były mundury, nikt się tego nie wstydził, wprost przeciwnie. Nosiło się z dumą tarczę, bo wszyscy wiedzieli, ja chodzę do dobrego liceum, wiadomo, który numer, wiadomo, kto, co to za liceum, jak to tam jest, wszyscy byli dumni z tego, że tak chodzą ubrani. Myśmy na przykład... Licea, wszystkie licea w Warszawie to były dwa lata, wiecie, jak to było?

Nauczanie. Było tak, szkoła podstawowa siedem klas i dostawało się ukończenie szkoły z dyplomem, wykształcenie powszechne. Jeżeli ktoś chciał iść do gimnazjum, to kończył sześć klas i szedł do czteroletniego gimnazjum, studiował cztery lata i dostawał maturę, małą maturę, i miał wykształcenie średnie. Jeżeli ktoś zamierzał studiować na wyższej uczelni to chodził jeszcze dwa lata do liceum. Licea były profilowane, różne były. Były humanistyczne, matematyczno-fizyczne, przyrodniczo-chemiczne i tak dalej, i tak dalej. Wybierał sobie kierunek i szedł na studia. Egzaminów się nie zdawało na wyższej uczelni. Wystarczyło, że się zapisał i płacił normalnie, i chodził, i studiował. Młodzież licealna wszystkich szkół średnich w Warszawie wykupowała abonament teatralny na dziesięć przedstawień. I co miesiąc chodziliśmy do teatru. W teatrze były sztuki dostosowane do programu nauczania, więc ja „Odprawę posłów greckich”, „Fircyka w Zalotach”, „Powrót posła”, Szekspir był chyba. Wszystkie te sztuki programowe widziałam na żywo. Ja nie czytałam „Wesela”, bo ja widziałam „Wesele” na scenie. Kto czyta „Wesele” i rozumie. Przecież to jest bzdura zupełna, co będziemy się tam łudzić. A jak zobaczył na scenie, to pamiętał. Ale teraz nie można. W każdym razie tak było w Warszawie, Była kulturalna, była piękna, była czysta. Przede wszystkim była bardzo czysta. Każdy dozorca miał taki obowiązek, że sprzątał odcinek chodnika przed swoją... Musiał zmiatać, w zimie odgarnąć śnieg, żeby nie było ślisko i było czysto. Każdy dozorca od godziny 8:00 wieczorem do godziny 11:00 siedział na ławeczce przed bramą i patrzył, kto wchodzi. O 11:00 zamykał bramę, i w nocy otwierał, jak ktoś dzwonił, dostawał 20 groszy albo 50, zależy od stopnia nasycenia alkoholem tego, kto wracał, i pilnował. Sprzątał wszystkie klatki schodowe, sprzątał podwórze, potem był taki... Taka złota rączka, więc reperował zamki, trzepał dywany, oczywiście odpłatnie, pilnował. I ci dozorca w czasie okupacji to był skarb. Jeżeli dozorca był na usługach gestapo, to koniec pieśni. Takich kilku dozorców było na ulicy Wspólnej. Najwięcej aresztowań było na ulicy Wspólnej, wszyscy się dziwili dlaczego. Bo tam byli dozorca na usługach. Natomiast na przykład u nas dozorca wiedział wszystko, to była duża kamienica, Żurawia 9, 56 mieszkań. On wszystko wiedział dokładnie, gdzie, kto i kto do kogo przychodzi, i po co. Wszystko wiedział. I nic się nie stało. Bo on dokładnie wiedział, kiedy zamykać bramę, kiedy otwierać, kogo puszczać, jak się pytali go Niemcy, to mówił, że nie ma, nie było, wyjechał dawno i tak dalej. On się opiekował. Więc tyle było. Teraz taksówki warszawskie były popielate i miały taki paseczek czerwono-biały, takie kwadraciki czerwono-białe dookoła i numerki, i to była taksówka. A w zimie, były zimy przedwojenne, mój syn się zawsze śmieje, że przed wojną zawsze było lepiej, sanki jeździły zamiast taksówek. Jezdnie były ślicznie śniegiem zasypane, zresztą zima była ciężka i można było za sankami jechać zamiast na... Tak wyglądała Warszawa. Czy jeszcze coś? Aha, jeszcze chciałam powiedzieć, więc ja chodziłam do tego liceum miejskiego. Było pięć liceów męskich i jedno żeńskie. Nie było koedukacji. Koedukacja była na prowincji. W Warszawie nie było. I zawsze był bal u prezydenta miasta, w Ratuszu, na placu w tym Ratuszu, który budowali. Tam była przepiękna sala balowa, fantastyczna. Był bal i wyobraźcie sobie, jakie myśmy miały powodzenie. Jedna szkoła żeńska i pięć męskich. I wyobraźcie sobie tak, ja dostałam... Bo każdy dostawał zaproszenie imienne, dostałyśmy zaproszenia, a w nocy umarła żona prezydenta Starzyńskiego. Odwołano bal. Jedyne bal odwołany to był właśnie bal, później byłam na balu.

Konrad Starczewski: A proszę powiedzieć, czy miała pani rodzeństwo?

Irena Kozłowska: Siostrę mam. Mam siostrę, tak.

Konrad Starczewski: A jeszcze, bo mówiła pani, że tata był kolejarzem, pracował na kolei, – a jak się nazywał?

Irena Kozłowska: Znaczy jak się nazywał, imię. Stanisław Lewenti.

Konrad Starczewski: A mama pani czym się zajmowała?

Irena Kozłowska: Mama moja domem się zajmowała. Mama zajmowała... Ojciec był wyższym urzędnikiem, tak że wystarczyło pieniędzy. Myśmy mieli drugą klasę, bo klasy były pierwsza, druga i trzecia nawet na kolei, więc bardzo wysocy urzędnicy mieli pierwszą klasę, średni, to mieli drugą klasę, a najniżsi funkcjonariusze mieli tę. I myśmy mieli, rodzina dostawała trzy bilety rocznie darmowe, a mieliśmy zniżkę 80%. A te trzy bilety to były bardzo chytne, bo to się robiło przerwy, więc my na przykład jechaliśmy, Warszawa-Wilno, Wilno-Gdynia, Gdynia-Warszawa. Jechaliśmy do Wilna, bo tam robiliśmy przerwę, potem jechaliśmy do Gdyni, robiliśmy drugą przerwę, drugą przerwę, za tym jednym biletem. W ten sposób wykorzystywaliśmy, zwiedziliśmy całą Polskę, wszędzie byłam. Nie byłam tylko w Radomiu i zawsze marzę o tym, żeby jechać do Radomia, bo nigdy w życiu nie byłam w Radomiu. A powiem wam dlaczego, bo w Radomiu mój pradziad uczył w gimnazjum rosyjskim łaciny i greki. Tyle o nim wiem z opowiadań. Myślę, gdzie to liceum. Ale to było bardzo dawno i tak strasznie chcę jechać do Radomia, bo jeszcze pojedę. Po świecie pojeździłam – trochę dalej niż do Radomia. – Ale to niedaleko, tutaj pociągi. Jakoś tak nie mam okazji do Radomia jechać.

Konrad Starczewski: A proszę powiedzieć jeszcze, jak wyglądały te ostatnie miesiące przed wrześniem 1939 roku, jak pani to wspomina?

Irena Kozłowska: Więc tak, myśmy wiedzieli, że wojna będzie. I radio było, telewizji nie było w Polsce, bo w Anglii była już telewizja, więc myśmy wiedzieli, że wojna będzie. Ja bardzo śledziłam te sprawy, ten Chamberlain głupi, który uwierzył Niemcom, że oni nie będą nas zajmować. Przede wszystkim strasznie się bali Niemców właśnie Anglicy i Francuzi. Myśmy nie wiedzieli o tym, że oni się boją, a oni chcieli robić wszystko, żeby jakoś to tego. Oddać im to i tamto, jeszcze o korytarz głupi się tak ci Polacy tłuką. Dlaczego nie oddać korytarza Niemcom na przykład. Takie były historie. I te nastroje były. Myśmy byli na wakacjach bliżej, bo myśmy jeździli zawsze daleko. W 1938 roku byliśmy w Zaleszczykach, a w 1939 roku, ponieważ już ta wojna tak wisiała w powietrzu, to byliśmy tak, nasza służąca była z Rudy Talubskiej i do niej żeśmy pojechali tam. Bardzo sympatycznie tam było w tej Rudzie Talubskiej. To jest na Garwolin, przed Garwolinem. Dęblin, tam. I myśmy tam byli. I radia się słuchało. I jak już tak mobilizacja, coś tego, to mama mówi: „To wsiadamy w pociąg i wracamy”. I pamiętam, już była mobilizacja i na stacjach poszczególnych tak baby odprowadzały tych swoich chłopaków do wojska i był straszny lament, to pamiętam. Okropny był tłok w pociągu, wszyscy wracali i to było takie wrażenie bardzo nieprzyjemne. I mówię, jeszcze taki był zwyczaj przed wojną, czego nie ma dzisiaj, nigdy się nie jeździło z bagażami. Bagaż się zdawało na bagaż. Przyjeżdżało się z walizkami, brało się tragarza od dorożki czy od taksówki, on zanosił do tej bagażowej kasy i tam się zostawiało bagaż, i ten bagaż został wystawiony na peron ze stacji tej, właśnie na tej Rudzie Talubskiej, taka wielka stacja, bagaż był na tym. I na bagaż, myśmy oddali wtedy ten bagaż, i okazało się, że bagaż nie przyszedł, bagaż przyjdzie drugim pociągiem. Trzeba było poczekać. Przyjechał drugim pociągiem i jednej walizki brakowało. I ta jedna walizka była pierwsza nasza strata wojenna to była pierwsza walizka w 1939 roku. I potem wojna. Więc wojna, każdy pamiętał pierwszą wojnę... No, nie każdy, ale ci, którzy pamiętali pierwszą wojnę światową, to wiedzieli, że brakuje soli i brakuje mydła.

Bo bez tego moja mama kupiła dziesięć kilo soli i kupiła ileś tam, pamiętam, mydła, takie było toaletowe, ileś tam sztuk tego, myśmy się myli tam z rok tym mydłem, bo wszyscy wiedzieli, gdzie mydła... Było mydło w czasie okupacji, sól była też. Nie było innych rzeczy, ale takie były doświadczenia. Zresztą wszystkie doświadczenia, które się ma z poprzedniej wojny, to zawsze do niczego nie służą. Doświadczenia były takie, że najlepiej siedzieć w mieście, bo na wsi to strzelają i mogą być okopy, i tak dalej. I jak potem było Powstanie, ja mieszkałam już wtedy na Okęciu, wyszłam za męża i mieszkaliśmy na Okęciu, to ja wszystkie swoje najlepsze rzeczy wywoziłam do Warszawy. Dziecko, które się miało urodzić, miało piękną wyprawkę przez babcię robioną, z kokardkami, ze wszystkim, ta cała wyprawka była w Warszawie, a jak on się urodził, to miałam dwie pieluchy. Właściwie nie miałam pieluch, podarłam prześcieradło, nic nie miałam. Bo wszystko mam w Warszawie. Więc takie były doświadczenia.

Konrad Starczewski: A proszę powiedzieć, czy... Tak pani właśnie powiedziała o tej pierwszej wojnie, czy na przykład tata pani jakiś epizod związany, znaczy epizod...

Irena Kozłowska: Więc ojciec, tata, był już wtedy na kolei, pracował na kolei. Tak, tak, ale w pierwszej wojnie światowej... W czasie pierwszej... Zaraz, znaczy mój ojciec miał takie nieszczęście, służył w armii rosyjskiej, bo był wzięty... Moja babka miała sześciu synów, z tego czterech było na wojnie. Więc ojciec mój został powołany do wojska, nie wiem, no, w 1915 roku, bo... Nie, chyba w 1914 roku, w każdym razie przed samą wojną poszedł do wojska, tego rosyjskiego wojska i miał niesamowite szczęście, bo tamtych starszych synów babki to wywieźli w głąb Rosji. Jeden nawet w gwardii cesarskiej służył, bo był wysoki, przystojny i zgrabny. Ale gdzieś tam pod Mongolią, gdzie straszy, natomiast mój ojciec, jego jeden brat był zwolniony z wojska, bo był chorowity, był kompozytorem i skończył konserwatorium, grał na fortepianie i uczył muzyki generała, który nie wiem, jak się nazywał, generał rosyjski, który stacjonował w Warszawie. Był najważniejszy wtedy. I wtedy ten stryj poszedł do niego: „Mój brat idzie do wojska, czy nie dałoby się gdzieś tu go bliżej umieścić?” A on mówi: „A gdzie on mieszka?” „Na Księżęcej” „To na Księżęcej będzie służył”, bo tam dalej na Księżęcej jest... I ojciec służył na tej samej ulicy, na której... A jeszcze miał jedną ogromną zaletę, bo ojciec nie od urodzenia, ale od gimnazjum grał na waltorni. W orkiestrze szkolnej. Potem grał w orkiestrze wojskowej, bo to był bardzo taki trudny instrument i takich potrzebowali. Tak że właściwie nie bardzo się nasłużył, bo zawsze miał próbę, grał, potem gdzieś tam grał na jakimś tym koncercie i znów wracał do... Tak że jemu się to wszystko udało. Szczęśliwie jak się kończyła jego służba, to się zaczęła wojna i oczywiście zaraz poszedł na wojnę. Długo się nie nawojował, bo gdzieś tam, nie pamiętam, gdzie to, pod Kaliszem czy gdzieś tam, Niemcy włamali, otoczyli, wzięli do niewoli i ojciec dalej zawsze wojnę przeżył cztery lata w obozie jenieckim. I znów jest ciekawostka taka, to KARTA dostała, 20 zdjęć z niewoli niemieckiej. Z pierwszej wojny światowej. Bardzo ładne zdjęcia. Herbaciarnia, orkiestra gra, wszystko pięknie. Tylko nie mieli co jeść. Więc ojciec tam, jest takie zdjęcie, przy herbacie, herbata to była z tych takich suszonych buraków czy z czegoś tam, w tej herbaciarni, ale była herbaciarnia, ubrana w takie dekoracje. Mówi, że karmili żabami. Żaby i brukiew to było jedzenie. A tutaj wygląda bardzo elegancko. Dobrze im było w tej niewoli, mieli kawiarnię, orkiestrę mieli, wszystko mieli. Tak że ojciec przeżył niewolę tam. I potem jak wrócił z niewoli, to zaraz dostał posadę na kolei, bo grał na waltorni. I ponieważ był na kolei, więc nie poszedł do wojska, tylko bronił tego węzła kolejowego w Warszawie. Tam siedział zakwaterowany i tam siedział. Nie szedł na front. Tylko w tej służbie ochrony kolei. – A jakie jego dalsze losy były? – Ojca? – Tak, tak. – Nareszcie przestał już być... No, pracował na kolei do śmierci. Znaczący do śmierci... – Ale całą okupację w Warszawie. – Całą okupację

w Warszawie i znów na kolei. I na kolei była – bardzo ścisła konspiracja. – No, właśnie. Oni świetnie to organizowali, te wszystkie wysadzenia pociągów i to wszystko, to było w konspiracji. Ale jak zostaliśmy wyzwoleni, to powiedzieli, że kolej była na służbie niemieckiej, bo była dyrekcja niemiecka i służba niemiecka, i wszyscy kolejarze mają odjęte lata do emerytury, te, które były w czasie okupacji. I za to, że się narażali, za to, że robili te wszystkie świństwa Niemcom, to zostali ukarani przez Polskę Ludową i musieli, ojciec musiał dłużej pracować na kolei po wojnie, o te całe cztery lata okupacji, bo przecież służył Niemcom.

Konrad Starczewski: A czy jakoś mogłaby pani bliżej scharakteryzować jego działalność konspiracyjną?

Irena Kozłowska: Trudno mi jest powiedzieć. Trudno mi jest powiedzieć. Nie mówił o tym. Zresztą nie mówiło się o tym. Ojciec siedział w konspiracji, mama siedziała w konspiracji, ja i siostra, w różnych grupach, nic. Ja nawet nie wiedziałam, – jakie pseudonimy kto miał. – Ale po wojnie też jakoś... Po wojnie się jakoś, no, mówiło się ogólnie. Tam ojciec coś wspominał, jakoś takich wspomnień... I tata w którym roku zmarł pani? W 1960 roku. Tata zmarł w 1960 roku.

Konrad Starczewski: Chciałem jeszcze, bo wspominała pani o tym tajnym nauczaniu, że uczęszczała pani na tajne komplety, właśnie jakby pani mogła jakoś tak to bliżej też scharakteryzować.

Irena Kozłowska: No właśnie więc z tymi kompletami. Więc wszystkie gimnazja warszawskie miały te tajne komplety. Ministerstwo było, tajne ministerstwo oświaty, wszystko było, matury były, wszystko formalnie. Ja na komplety nie chodziłam, już skończyłam, ale pracowałam, przygotowywałam te koleżanki do tych kompletów. Na komplety chodziła jeszcze moja siostra, bo młodsza. I komplety były organizowane w ten sposób, że było sześć-siedem osób na komplecie i te dziewczynki, które tam się uczyły w swoich mieszkaniach przyjmowały. To zmieniało się. To było bardzo chytrze urządzone, to wszystko miało w głowie dyrektorka nasza, wiedziała, gdzie jest, który komplet, a ileś tych, kilkanaście kompletów, – bo to duża szkoła.

Konrad Starczewski: Pamięta pani nazwisko tej...

Irena Kozłowska: Pani Maria Rościszewska. Ona jest zresztą, ona brała udział w Powstaniu, tam jest gdzieś zanotowana. Teraz widziałam, wzruszyłam się bardzo, bo byłam na Krakowskim Przedmieściu, tam widziałam portret mego profesora historii i filozofii, Czesław Pawłowski, który zginął w Katyniu. Nie wiem, w Katyniu... No, w każdym razie wystawa taka katyńska jest tam przed Polonią i znalazłam tam jego portret i jego życiorys. To jest taki pan profesor. Zresztą... A, jeszcze bardzo ciekawa była nauczycielka, panna Zasuszanka. Nazwiska może nie słyszeliście, ale na pewno znacie „Marsza Lotników”. Grają często. Autorka słów „Marsza Lotników”. Bardzo ciekawy typ. Ona miała narzeczonego, to był lotnik, Latfis się nazywał. On napisał melodię, a ona napisała słowa. Zginął w katastrofie. Ta pani zaraziła nas lotnictwem. Myśmy znały... No, przede wszystkim jak były wieczorki szkolne, to 12 lotników eleganckich, w strojach galowych, na bal zapraszali. Przy tej okazji mogłam poznać lotników tych, którzy polecili do Anglii, tam byli, i tam organizowali lotnictwo. Taka ciekawostka była, bo właśnie panna Zasuszanka zorganizowała im sztandar w Londynie. Też było ciekawe, mogę wam to powiedzieć. Więc ona tam działała, bo ona uciekła z Polski

w czasie okupacji, przez jakieś tam zielone granice i z tymi lotnikami zawsze miała kontakt. I oni tam byli, wiemy jakie były losy tych naszych lotników, bo najpierw się bali, żeby nie... Bo to prymitywni ludzie, gdzieś z jakiegoś zachodu, w Londynie... Znaczący Anglicy zawsze mieli takie pojęcie, że Polacy w łapciach chodzą. I zobaczyli tych lotników, posłali ich do szkoły, spróbowali, co oni umieją, to tamci wszyscy instruktorzy oczywiście tak robili, że oni takich rzeczy nie ten... Tamci nie umieli, a ci umieją. I wreszcie jak była bitwa o Anglię, to się zdecydowali, że trzeba puścić tych lotników, bo kto będzie bronił Londynu. I to byli tacy głupi lotnicy, że jak była five o'clock tea, to wszyscy lotnicy szli pić, a Polacy głupi bronili Londynu na przykład wtedy. Nie szli na herbatę, dziwny naród. No, nie mieli tego sztandaru. I panna Zasuszanka stwierdziła, że oni muszą mieć sztandar, nie taki byle jaki gdzieś tam, tylko z Polski się sprowadzi. Zaprojektowany ten sztandar był i posłali do Wilna do zakonnic, które wyhaftowały ten sztandar, ale ten sztandar musi wrócić i ten sztandar wracał bardzo ciekawie, bo wracał przy pomocy ambasady zaraz jakiegoś takiego fikcyjnego państwa japońskiego, już nie pamiętam, jak ono się nazywało. Tam jakiś tam ten ichny ambasador japoński przewiózł to do Sztokholmu, a ze Sztokholmu ten sztandar przyjechał do Anglii z powrotem i był tak piękny. Top miał być sztandar Dywizjonu 303, ale powiedzieli, że to świństwo jest. Każdy dywizjon będzie miał przez jakieś parę miesięcy ten sztandar u siebie. I sztandar był. Ja ten sztandar widziałam później w Londynie w muzeum, i jak się zrobiła Polska normalna, to sztandar przyleciał samolotem prezydenta Wałęsy i przyjechali zwierzchnicy najwyższych sił lotniczych Londynu, i przyjechali nasi chłopcy, już tak troszkę podstarzali, Urbanowicz między innymi przyjechał i przywieźli ten sztandar, było wręczenie sztandaru naszym lotnikom na placu Piłsudskiego. I sztandar jest przechowywany w Dęblinie.

Konrad Starczewski: A czy pani może uczęszczała na tajnym uniwersytecie?

Irena Kozłowska: Nie, nie.

Konrad Starczewski: Bo pani na tych tajnych kompletach nauczała, tak?

Irena Kozłowska: Ja nauczałam, tak.

Konrad Starczewski: Nie zdecydowała się pani – na studiowanie na przykład.

Irena Kozłowska: Ja nie miałam możliwości, bo ja miałam tysiąc różnych zajęć. Troszkę tylko w tej szkole, no, teatralnej. W tej szkole teatralnej trochę tak, a jak już powiedziałam, na studia we Wrocławiu po śmierci, po pogrzebie mego męża. Wtedy już miałam czas, – to mogłam.

Konrad Starczewski: Jeszcze wspominała pani o szkole zawodowej, która zapewniała te aunsweisy, tak?

Tak. genialna szkoła zawodowa.

Konrad Starczewski: Właśnie, gdyby pani mogła opowiedzieć.

Irena Kozłowska: Dyrektorką była pani Puternicka, ona też jest zarejestrowana jako Polska Walcząca, to była bardzo dziwna szkoła. Myśmy miały 19 przedmiotów. W tej szkole dekowali się wykładowcy uniwersytetów różnych i uczyli nas, z czego tam mogli, więc to był bardzo, wszystkiego myśmy się uczyły, filozofii, myśmy się uczyły rachunkowości, to się nazywało, uczyłyśmy się prawa i każdy, kto mógł, to uczył nas. Ja, jak miałam sprawę sądową, potem spadkową, to ja się broniłam bez adwokata i ten adwokat, który to słyszał, mówi: „A skąd pani to wszystko wie?”. „Bo ja się w szkole uczyłam”. Tak że to był bardzo wysoki poziom. I między innymi tam, to wtedy ja zaczęłam chyba z tą szkołą. Tak, wtedy zaczęłam. Tam był zespół taki baletowy w tej szkole. – Gdzie ta szkoła się mieściła? – Ona się różnie mieściła, była na Książęcej, była na Marszałkowskiej, tam przenieśliśmy się, bo to były takie... – I ona miała jakiś profil, ta... – To się nazywało... Zaraz, jak to się nazywało? Wyższa Szkoła... Nie, to była średnia szkoła zawodowa. Już nie pamiętam, jaki ona miała tytuł. Myśmy się śmiały, że jesteśmy w wyższej szkole gotowania na gazie. Myśmy się uczyły gotować, uczyłyśmy się. I właśnie tam było takie koło teatralne, które... To była taka nauczycielka baletu z tego, z Opery Warszawskiej. Też się tam dekowała, bo oni tam wszyscy mieli etaty i uczyli w szkole zawodowej drugiego stopnia. To była szkoła zawodowa drugiego stopnia i oni wtedy mieli ausweis. I tam się dekowali. Nawet do wyższej szkoły taka była pani Strasburger, tam jakiś inny, wszystko bardzo mądrzy ludzie, uczyli nas mądrych rzeczy, a to było głupio napisane tam w tych świadectwach. I właśnie wtedy Iwo Gall przyszedł do tej pani, bo oni byli zaprzyjaźnieni, wybrał nas kilka z tego zespołu i zabrał do szkoły teatralnej.

Konrad Starczewski: A gdyby pani mogła jakoś opisać obronę Warszawy na przykład.

Irena Kozłowska: W 1939 roku?

Konrad Starczewski: W 1939 roku.

Irena Kozłowska: Jak się do tego przygotowywano, jak... Więc jak się przygotowywano. Przygotowywano się tak jak wszędzie, robiło się takie paskami na szybach, tak się zaklejało, żeby się szyby nie tłukły, robiło się jakieś takie zapasy.

Konrad Starczewski: A jaki nastrój panował w mieście, pani zdaniem?

Irena Kozłowska: Nastrój panował, że oczywiście to będzie krótko, bo przecież my mamy już, ofiarowali się Francuzi, Anglicy, robiliśmy demonstrację pod tym, cieszyliśmy się, przecież to parę dni tylko, przecież oni zaraz zbombardują, przylecą, wszystko będzie pięknie. Tak, kopaliśmy rowy, gdzieś tam kopałam rowy, już nie pamiętam gdzie, przeciwnotnicze, wszyscy kopali rowy przeciwnotnicze i nastrój był radosny, bo przecież to tylko na parę dni, bo to i gdzie tam, w ogóle gdzie, mamy wojska nasze, nie puszczą ich. Ja jeszcze w trzecim dniu wojny, to byłam w teatrze w Warszawie. Tak. Takiego nastroju nie było żadnego. Dopiero jak zaczęły się te bombardowania i jak zaczęli strącać nasze nieliczne samoloty... Bzdura jest taka, że oni wyłukli nasze samoloty na Okęciu, to jest paszkwil, bo przecież my mieliśmy bardzo dobrych lotników i te kilka samolotów, które były ważne, to były ukryte i oni, część tymi samolotami puciekąta nawet. Tak że nie było... Ale nie miało być tych samolotów tam. Trochę stręcili tam, że dwa, może było widać nad Warszawą, jak był nalot. Później się okazało, że właściwie już nie ma, artyleria strzela, naszych samolotów nie ma. Jakoś ta Francja się nie rusza, nie ma. Coraz bardziej było ponuro. Nasi się bronili dzielnie.

Ludzie schodzili do schronów, do piwnic schodzili. I na przykład u nas, myśmy mieszkali w Śródmieściu na Żurawiej, więc znajomi z obszarów takich podmiejskich, właściwie nie podmiejskich, tylko z Warszawy u nas mieszkali, myśmy mieli wtedy dwa i pół pokoju z kuchnią, to u nas było ze 20 osób tam. Tych znajomych wszystkich. I trzeba było to jakoś dożywić towarzystwo, a to było trudno. Sklepy pozamykane, nie było nic do jedzenia. Była służąca taka, nie pamiętam, jak ona miała na imię. Śmiesznie miała na imię. Która strasznie się bała burzy. Jak w czasie wojny była burza, to ona się chowała pod łóżko, ale jak było bombardowanie, to nie. Jak było bombardowanie, to ona leciała na miasto i przynosiła kawałek koniny. Jak koń jakiś padł, to dzielili i ona nas żywiła. Nic się nie bała, tylko burzy się bała. I dziwili się tam ci ludzie, którzy tam byli u nas. Ciekawa rzecz, bo pod nami, myśmy mieszkali na pierwszym piętrze, a pod nami był magiel i myśmy uważali, że w tym maglu to będzie bezpiecznie. To była głupota, że magiel tak się rozhuśtał, to mógł nas wznieść przez ścianę, ale myśmy tak schodzili do magla, do piwnicy nie. I skończyło się. Niemcy weszli, Niemcy byli bardzo dobrzy, bo od razu były samochody ciężarowe i rozdawali darmo chleb ludziom. Więc taki cięższy proletariąt, jak ja to mówię, to Niemcy dobrzy, bo chleb dają. Od tego zaczęli, a później to już zaczęło się tak jak się zaczęło.

Konrad Starczewski: Proszę powiedzieć, ten fragment życia związany z konspiracją, jak to wszystko się zaczęło, gdzie pani zaczęła funkcjonować?

Irena Kozłowska: Więc ja mówię, że ja byłam zawsze wolny strzelec. Już powiedziałam, że ja zostałam zaprzysiężona na Okęciu, bo mój mąż tam bywał, ale mnie to nie bawiło. Ja chciałam coś robić i potem mi się przydarzyła okazja doskonała, bo w naszym mieszkaniu...

Konrad Starczewski: Ale zaprzysiężona była pani w Armii Krajowej.

Irena Kozłowska: Tak. W Armii Krajowej. Zdarzyła mi się przygoda, bo Cichociemni i u nas w mieszkaniu był punkt Cichociemnych. Więc ja się tym zajęłam. Miałam pod opieką, to grupa była sześciu chyba chłopaków i tutaj zaczęłam działać. Trzeba było coś przenieść, trzeba coś wynieść, trzeba załatwić, to przy tym chodziłam, a mimo że tam byłam zaprzysiężona. Ale to było jeszcze za mało, bo na przykład ja pisałam bardzo dobrze na maszynie i jak trzeba było pisać skrypty na tajne uczelnie, miałam kolegów, to ja przepisywałam. Z tym, że maszyny musiały być rejestrowane. Ja nie miałam maszyny, ale miałam takiego znajomego, który handlował złotem i rublami, z wierzchu, a spod spodu inaczej i miał maszyny, i wolno mu było mieć. To ja tam do niego chodziłam i przepisywałam to kilometrami te wszystkie skrypty na przykład. To było bardziej zabawne.

Konrad Starczewski: A ci chłopcy to była grupa... Pani ich przyjmowała od momentu...

Irena Kozłowska: Znaczący jak oni skakali, to taki był punkt kontaktowy, to był u mnie, a poza tym to był punkt kontaktowy, gdzie oni się spotykali z dowództwem, więc nawet raz miałam zaszczyt, chyba dwa razy był Nin u mnie w mieszkaniu, a w ogóle to oni byli pod opieką „Sana”. Zorganizowana, która miała działać na zachodzie Polski. To było specjalne szkolenie grupy tych Cichociemnych i oni się u mnie spotykali, tutaj mieli szkolenia.

Konrad Starczewski: Jak to wyglądało? Pani wychodziła z mieszkania – i oni wtedy jakoś przychodzili?

Irena Kozłowska: Nie, oni przychodzili na wódkę, tak się nazywało na przykład. U nas było takie śmieszne mieszkanie, bo była amfilada, więc w pierwszym pokoju, oni w tym drugim pokoju mieli zebranie. I przychodzi do mnie kiedyś koleżanka, mówi: „Wiecie co, że podobno skaczą do Polski. Jak ja bym takiego zobaczyła...”, a tam było zebranie w drugim pokoju, „... to ja bym po rękach ich całowała”, a siostra mnie trąca, mówi: „Ty iść, puść jednego, niech całuje”. Ja ich pokażę zaraz, wam tu pokażę zaraz. Aha, więc zaczynamy od tych Cichociemnych, dobra. KS: A jacy to byli ludzie? Zacznę od tego, zacząłem od początku. Od początku to było tak, że był taki, Kalankiewicz się nazywał, w Armii Polskiej i on dostał się do Anglii, i wykombinował sobie, że trzeba zorganizować grupę spadochronową, bo jak tam będą z zachodu, jeszcze myśleli, zawsze oni nam będą pomagać, to będą grupy spadochronowe, oni na spadochronach będą tutaj skakać i taką grupę trzeba stworzyć. Tam on zaproponował to w dowództwie naszym, tak patrzyli na niego na wariata, grupa spadochronowa, spadochroniarze, głupota jakaś, to tego, ale drążył, drążył i wreszcie mówi: „No, niech tam będą na tych spadochronach”. I teraz zaczyna się bombardowanie Anglii, bo do tej pory Anglicy uważali, że ich nie ruszą, bo oni są na wyspie, to nic im się nie stanie. Głupi naród straszliwie. Jak zaczęli ich trochę bombardować, to się zaczęli bać. I tam nasi lotnicy tam się do Anglii dostali, tam różnymi, te kanały i to wszystko. Więc oni mówią, że oni mają bardzo dobrych... Że trzeba zrobić grupę spadochronową. Dobra, jest grupa spadochronowa, ze spadochronami będą skakać, będą zrzuć i tak dalej. I zaczęli to organizować. Naszych tam wojskowych było mnóstwo i przeważnie w Szkocji siedzieli, w Aberdeen, przeważnie tam byli. Siedzieli, właściwie nic nie robili, ale tam zaczęli to namawiać, że się grupa spadochronowa, że oni przydadzą. Bo oni najpierw nie chcieli w dowództwie, co to za grupa, z parasolami będą skakać i tak dalej. Ale wreszcie przekonali ich, że ci ludzie tutaj się szkolą, bardzo dobrze są szkoleni i jak się zaczęła już wojna na kontynencie dobra, to się zrzuci tych skoczków spadochronowych i oni będą szkolili nasze, przecież najbardziej zorganizowaną armią podziemną to była polska armia, przecież my mieliśmy świetną armię. Wszystko było świetnie. Jedyne kraj, gdzie było tajne nauczanie, była tajna armia i tajne studia, wszystko było tajne, i wszystko grało. My mieliśmy państwo podziemne, a inni mieli ruch oporu. Tak, tak. Myśmy mieli państwo podziemne świetnie zorganizowane, wszystko było. Więc wreszcie to tak poszło i teraz... O czym ja zaczęłam? O organizacji tych skoczków. – Tak, jak to się zaczęło. – Tych spadochroniarzy. Więc stwierdzili, że jak się ich wyszkoli świetnie, najpierw musieli przekonać tam dowództwo polskie, bo też jeszcze nie było bardzo zorganizowane, to oni się tutaj przydadzą i oni byli fenomenalnie szkoleni, komandosi to zero przy nich. I nimi się zajmował pan Józef Hartman, którego miałam zaszczyt znać, to jest pan Hartman, tutaj, o. I on organizował tamtych Cichociemnych. Tak on wygląda. Bardzo przystojny pan. To jest ten pan Hartman. On się nimi zajął i tam zaczął organizować te grupy spadochronowe. Zresztą im powiedzieli, że spadochron to jest bardzo dobry wynalazek, bo można i zrzucić tych skoczków, i oni się nazwali Cichociemni. Bo po cichu skakali. Oni skakali tutaj po to, żeby organizować te grupy partyzanckie, które były, i szkolić, ćwiczyć i tak dalej. O czym ja zaczęłam, zaczęłam od Cichociemnych, dlaczego?

Konrad Starczewski: Ponieważ była pani zaangażowana... A jak się to zaczęło w pani rodzinie? Bo z tego wygląda, że pani rodzina była zaangażowana w ogóle.

Irena Kozłowska: Znacząca rodzina była zaangażowana, ale wyobraźcie sobie, że konspiracja była tak ścisła,

że myśmy wszyscy wiedzieli o sobie, a każdy był w osobnej grupie i nie opowiadaliśmy na ten temat. Po prostu dlatego, że jak nas wezwą na gestapo i zaczną nam wrywać język, to żebyśmy nie gadali. Ale o tym, że spotkania Cichociemnych u państwa w domu, to rodzina się zgadzała na to.

Konrad Starczewski: Czy to było z pani inicjatywy, czy...

Irena Kozłowska: Tak, tak, tak, oczywiście tak. Bo u mnie mieszkała moja koleżanka, która... Ona się z tymi Cichociemnymi najpierw związała, potem nas wciągnęła, mnie i siostrę i oni przychodzili do nas. U nas były zebrania tych Cichociemnych, więc wódka, śpiewanie, gadanie, tańczenie, patefon i tak dalej, żeby... Proszę? Jak koleżanka się nazywała? Ona się nazywała... Ona się różnie nazywała.

Konrad Starczewski: To był pani kontakt przez nią, miała pani kontakt z Cichociemnymi.

Irena Kozłowska: Tak, przez nią z Cichociemnymi, bo ona, pierwsi Cichociemni, którzy skakali, to była pierwsza grupa, więc ona ich rozprawiała i u nas był kontakt. U nas było mieszkanie, mieszkanie kontaktowe i oni przechodzili do nas, i oni u nas mieli wykłady. Myśmy bardzo dobrze mieszkali. Mieszkali na ulicy Żurawiej, ale w podwórzu. W podwórzu i to było pierwsze piętro, w głębi tam gdzieś, tak że ludzie chodzili po podwórzu różni, nie zwracało to uwagi. Tam oni przychodzili na ćwiczenia i przez tę koleżankę myśmy się wciągnęły z siostrą i tak to zostało.

Konrad Starczewski: A czy mogłaby pani jakoś zaratować pierwszą grupę Cichociemnych, która znalazła się w mieszkaniu?

Irena Kozłowska: U nas?

Konrad Starczewski: Tak.

Irena Kozłowska: Tak.

Konrad Starczewski: Kiedy to było?

Irena Kozłowska: Kiedy to było? Zaraz wam pokażę tutaj tych Cichociemnych. O, proszę bardzo. Macie. To był „San”, szef Kedywu obszaru AK Zachód, Jan Mielczarski, major. A to jest grupa Cichociemnych. Znaczący nie wszystko. Raz, dwa, trzy, a to jest właśnie ta moja koleżanka, która mnie prowadziła. To są ci Cichociemni. A czy rodzice nie mieli nic przeciwko? A skąd, moi rodzice w konspiracji siedzieli od urodzenia, od pierwszej wojny światowej, to dla nas to był normalny chleb, to w ogóle nie było żadnej... Po prostu pani przyszła, powiedziała im, o co chodzi, bo musiała pani powiedzieć, kim oni są, prawda. Oni wszystko wiedzieli. Oczywiście, oni wszystko wiedzieli. Ta koleżanka mieszkała u nas, bo ludzie mieszkali na kupie i ona miała pierwszy kontakt z tymi Cichociemnymi i Cichociemni u nas bywali, i... Czy oprócz punktu kontaktowego jeszcze jakieś działania takie pomocnicze dla nich panie prowadziły? No, oczywiście. Punkt kontaktowy że się spotykali to tak, ale jak było coś zanieść, coś przynieść, to zawiadomić czy, to byliśmy od tego.